

# Kolaboranci

Dlaczego doszło do „Burzy”? Czym kierowali się pomysłodawcy tej akcji, gdy wydawali wyrok na żołnierskie rzesze Armii Krajowej? Po wojnie podawali oni szereg mniej lub bardziej kuriozalnych przyczyn, ale jedna z nich zdecydowanie wybija się na plan pierwszy. Otóż podstawowym celem „Burzy” miało być udowodnienie dobrej woli Polaków wobec Związku Sowieckiego poprzez wspólną z Armią Czerwoną walkę z Niemcami. Dobra wola ta miała otworzyć drogę do kompromisu politycznego ze Stalinem.

Była to oczywiście mrzonka. Największa z iluzji, którym holdowali Polacy podczas drugiej wojny światowej. Sowiety bowiem – jak wiemy – żadnego kompromisu z Polakami sobie nie życzyły. Bo i po co, skoro w Polsce mieli być całkowitymi panami sytuacji. A już przekonanie, że zwykli oficerowie AK na polu bitwy osiągną to, czego nie udało się osiągnąć Mikołajczykowi w dyplomatycznych gabinetach, było czystym absurdem.

„Rozkaz ten – oceniał historyk Władysław Pobóg-Malinowski – obarczający niedoświadczonych politycznie dowódców lokalnych zadaniem niezwykle trudnym, będąc przy tym wyrazem mgły w rachunku

bach i pojęciach, da niebawem skutki tragiczne, przed Powstaniem Warszawskim w dziejach Podziemia najposępniejsze”.

Podobnie uważało wielu współczesnych. Oddajmy głos Adamowi Ronikierowi, który sprawy te na bieżąco omawiał ze swoim przyjacielem generałem Stanisławem Szeptyckim. „Konkluzją naszą wspólnie powziętą, z żalem wielkim do władz naszych sformułowaną, było, że rozporządzenia powyższe są po prostu zbrodnią na młodzieży naszej dokonywaną, że one są w sprzeczności z honorem i sumieniem żołnierza polskiego, który, broniąc Polski przed jednym okupantem, nie może mieć za zadanie oddawania dobrowolnie Polski pod nowego okupanta, gorszego stokrotnie, bo jeżeli Niemiec łamał kości, to bolszewik starał się zabić duszę człowieka”.

Trudno o bardziej wymowny objaw całkowitego upadku polskiego instynktu politycznego i poczucia racji stanu niż operacja „Burza”. Rzeczywiście Polacy przez całą wojnę bronili się przed wszelką formą kolaboracji z Niemcami – często płacąc za tę pryncypialność olbrzymią cenę – a teraz, gdy tylko granice Polski przekroczyli bolszewicy, ci sami Polacy rzucili się na łeb na szyję, aby z nimi współdziałać i ich wspomagać.

Zresztą pal sześć Niemców. Warto raczej akcję „Burza” porównać z postawą, jaką Polacy zajmowali wobec kilkunastu poprzednich moskiewskich najazdów. Od szesnastego wieku, gdy doszło do pierwszego z nich, Polacy wkraczających w ich granice Moskali niemal zawsze witali ciosami szabel i gradem kul. Wiedzieli bowiem, że mają do czynienia ze śmiertelnym wrogiem, który przybywa, aby odebrać im wolność.

Tym razem Polacy witali zaś Moskali chlebem i solą oraz dobrowolnie wsadzali głowę w stryczek. Tymczasem bolszewicy nawet przez chwilę nie ukrywali swych zamiarów wobec Polski. Nie pozostawiali żadnych złudzeń, że mają ten sam cel, co podczas najazdu sprzed dwudziestu czterech lat.

W 1920 roku przywieźli ze sobą czerwonych Quislingów – Dzierżyńskiego, Kona i Marchlewskiego. W 1944 roku także przywieźli ze sobą czerwonych Quislingów – Bieruta, Gomułkę, Berlinga i Wasilewską. W 1920 roku chcieli zsowietyzować całą Polskę. W 1944 roku również

chcieli zsowietyzować całą Polskę. W 1920 roku zamierzali przejść po jej trupie do Niemiec. W 1944 też zamierzali przejść po jej trupie do Niemiec. Zarówno w 1920, jak i w 1944 roku po przekroczeniu polskiej granicy dokonywali zbrodni wojennych.

Różna była tylko reakcja Polaków. W 1920 roku do bolszewików strzelali, w 1944 roku rzucali się im w objęcia. A przecież często byli to ci sami ludzie! Bywało, że w 1944 roku współpracę z Armią Czerwoną podejmowali kawalerowie Orderu Virtuti Militari za kampanię 1920 roku. Jako młodzi ludzie z narażeniem życia bronili ojczyzny przed śmiertelnym wrogiem, a ćwierć wieku później temu śmiertelnemu wrogowi pomagali ją zdobywać.

Trudno zrozumieć, że po wszystkim, co się stało – 17 września, Katyń, masowych deportacjach, Berlingu, PPR i KRN – polscy przywódcy mogli mieć jeszcze jakiekolwiek złudzenia co do intencji Sowieców. „Dlaczego wprzęgać się miano do moskiewskiego jarzma, jeśli tak stanowczo odrzucano i tak konsekwentnie potępiano samą myśl jakiegokolwiek współpracy z Niemcami? – pytał Pobóg-Malinowski. – Czy sowieckie deportacje ludności polskiej do Workuty i na Kołymę były zbrodnią łagodniejszą w treści, a w skali swej mniejszą od niemieckich łapanek i robót przymusowych? Czy Katyń był mniej potworny niż krematorium w Oświęcimiu?”

Na początku lat sześćdziesiątych Zbigniew S. Siemaszko odbył następującą rozmowę z generałem Tadeuszem Pełczyńskim, zastępcą i prawą ręką generała Bora-Komorowskiego w Komendzie Głównej Armii Krajowej:

- Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że nakazuje oddziałom na Kresach załatwienie spraw politycznych, których nie zdołał rozwiązać ani rząd w Londynie, ani reprezentacja polityczna kraju, ani też KG AK?
- Tak, zdawała sobie sprawę.
- Czy KG AK zdawała sobie sprawę, że najbardziej patriotycznej młodzieży kresowej kazała walczyć i ginąć przy zdobywaniu polskiego terytorium dla Sowieców?
- Tak, zdawała sobie sprawę.

- Czy rzeczywiście zasadniczym celem „Burzy” było uzyskanie uznania polskiego podziemia przez Sowiety za reprezentację narodu?
  - Tak było w rzeczywistości.
  - Czy KG AK wierzyła, że to jest możliwe?
  - Niektórzy w KG wierzyli.
  - A czy pan generał osobiście wierzył?
  - Nie, nie wierzyłem.
  - Wobec tego jak to się stało, że pan generał popierał akcję „Burza”?
- Tu skończyła się spokojna, rzeczowa rozmowa. Generał poczerwieniał, zaczął uderzać pięścią w stół i mówić podniesionym głosem:
- Naród polski nie mógł pozostać bezczynny, kiedy jedna okupacja zmieniała się na drugą!

Do dzisiaj w podobny sposób wyglądają rozmowy z obrońcami akcji „Burza”, zarówno jej uczestnikami, jak i jej późniejszymi apologetami. Czyli na argumenty odpowiadają oni emocjonalnie, rzucając frazesami i miotając oskarżenia o szarganie świętości. Wszystko to ma przysłonić całkowicie oderwany od rzeczywistości projekt współpracy z najeźdźcą.

Cóż to bowiem znaczy, że „naród polski nie mógł pozostać bezczynny, kiedy jedna okupacja zmieniła się w drugą”? Jest to doprawdy jakieś kuriozum. To chyba jedyny przypadek na świecie, kiedy „nowego okupanta” wita się na swojej ziemi i pomaga mu się ją zdobywać. Gdy kiedyś wspomniany wyżej generał Pełczyński powiedział, że „Burza” miała na celu wobec wkraczających bolszewików „bronić praw Rzeczypospolitej”, Pobóg-Malinowski pytał: „Jak? Poprzez współdziałanie z najeźdźcą?”.

Powtarzane do dzisiaj opowieści, że akcja „Burza” miała de facto wymiar antysowiecki, są po prostu nieprawdziwe. Ładna mi akcja antysowiecka, która polega na współdziałaniu z Sowietami! W rzeczywistości chodziło o skłonienie bolszewików do uznania Armii Krajowej i do podjęcia z nią pertraktacji o dopuszczeniu przywódców Polski Podziemnej i przedstawicieli władz w Londynie do rządzenia powojenną Polską. Sprawę tę należy wreszcie nazwać po imieniu. To nieprzyjemne, ale fakty są bezsporne. Niestety działania Armii Krajowej w ramach

akcji „Burza” były kolaboracją. „Używamy słowa «kolaboracja» nie dla wysunięcia jakowegoś zarzutu, a dla ścisłego ustalenia stanu faktycznego – pisał Józef Mackiewicz. – Współpracownictwo bowiem z armią i kierownictwem ościennych władz na własnym terytorium jest kolaboracją (*Encyklopedyczny słownik wyrazów obcych* Lama)”.

Bardzo podobnie ten termin tłumaczą również współczesne słowniki. Według *Słownika wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych* Władysława Kopalińskiego kolaborantem jest ten, kto „współpracuje z nieprzyjacielem, okupantem”, a według *Słownika języka polskiego* PWN kolaboracja to „współpraca z nie popieraną przez większość społeczeństwa władzą, zwłaszcza z władzami okupacyjnymi”. Akcja „Burza” spełnia wszystkie te kryteria.

„Wielkie mocarstwa zachodnie mogły być w drugiej wojnie światowej sojusznikiem Sowietów i de iure, i de facto. Polska natomiast, ze względu na swą słabość i położenie geograficzne, mogła być sojusznikiem tylko de iure. Natomiast de facto stawała się przez ten sojusz kolaborantem z najeźdźcą sowieckim” – podkreślał Mackiewicz. „Oddaliśmy się pod opiekę Rosji, jak swego czasu pod opiekę Katarzyny. Między wielką Rosją a małą Polską wzajemna pomoc jest fikcyjną” – wtórował mu pułkownik Lipiński.

W obliczu wkraczającej do Polski Armii Czerwonej zarówno premier Mikołajczyk, jak i jego delegat w kraju Jan Stanisław Jankowski wydali odezwy witające bolszewików. Mowa w nich o „wyzwoleniu” Polski i woli polskich władz, aby w tym „wyzwoleniu” pomagać. Według cytowanego wyżej Mackiewicza odezwa Jankowskiego „zadziwiająco przypominała odezwę Háchy do narodu czeskiego, wydaną na spotkanie wojsk niemieckich”.

Sowiety brutalnie odrzuciły jednak tę gotowość do współpracy i 11 stycznia 1944 roku, a więc kilka dni po przekroczeniu granicy Polski, wydały komunikat, w którym kolejny raz poinformowały, że połowę Polski uważają za swoje terytorium: „Konstytucja sowiecka ustanowiła granicę sowiecko-polską odpowiadającą pragnieniom wyrażonym przez ludność Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w plebiscycie przeprowadzonym w szerokich ramach demokratycznych w roku 1939”.

Był to moment, w którym plan operacji „Burza” należało wyrzucić do kosza. Był to moment, w którym ostatecznie jasne się stało, że „sojuznik naszego sojusznika” – jak mówiono wówczas o Sowietach w polskim podziemiu – nie przestał być naszym wrogiem.

Polacy często – i słusznie – pomstują na Brytyjczyków i Amerykanów za to, że sprzedali Polskę Stalinowi. Spróbujmy jednak spojrzeć na te sprawy z perspektywy przeciętnego logicznie myślącego człowieka Zachodu. Oto bolszewicy wkraczają do Polski i zapowiadają, że chcą jej odebrać połowę terytorium. Polacy w odpowiedzi witają ich i pomagają im tę połowę Polski zdobywać. Wniosek mógł być tylko jeden: widocznie Polacy te sowieckie roszczenia popierają.

„Armia Krajowa, współdziałając według nakazów premiera Mikołajczyka z wojskami sowieckimi w walkach o Łuck, Wilno czy Lwów, działała niestety bezpośrednio na rzecz państwa sowieckiego i jego interesów i bezpośrednio na szkodę własnej Ojczyzny” – pisał Waclaw Lipiński.

Co ciekawe, jak wynika z powojennych wypowiedzi autorów „Burzy”, mieli oni nadzieję, że jeśli nawet „krakanie” Sosnkowskiego się spełni i bolszewicy złączą Armie Krajową, wywoła to protest i oburzenie aliantów, którzy doprowadzą Stalina do pionu. „Zawiodą i te, typowo polskie, rachuby na życzliwy odzew świata. Nie drgnie on nawet, gdy nadlecą do niego tragiczne echa beznadziejnego eksperymentu – komentował Pobóg-Malinowski. – Jeśli «Burza» miała być formą przeciwstawienia się celom zaborcy, jeśli miała być eksperymentem – poświęcić tysiące ludzi, skazać ich na bezsensowną walkę i na męczeństwo po walce, po to, by ukazać światu prawdziwe oblicze wroga, to czyż Katyń już nie odsłonił tego oblicza?”

Jest jeszcze jeden motyw, o którym mówili wysocy rangą oficerowie AK, starając się wytłumaczyć wydane przez siebie rozkazy. Otóż – jak pisał w depešy do Londynu Bór-Komorowski – chodziło o „zadokumentowanie przed światem naszego nieugiętego stanowiska wobec Niemców i niezłomnej woli walki z nimi” oraz „wyrwanie Sowietom złośliwego atutu do zaliczania nas w poczet cichych sprzymierzeńców Niemiec”.

Słowa te to tylko kolejne potwierdzenie, że ze wszystkich narodów najbardziej podatny na obce prowokacje jest naród Polski. Podobne oskarżenia ze strony bolszewickiej maszyny propagandowej służyły oczywiście tylko i wyłącznie sprowokowaniu Polaków do straceńczych działań i szafowania krwią. Im więcej bowiem Polaków zabiliby Niemcy, tym mniej roboty miałyby później NKWD.

Kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego, zamiast zdemaskować tę fałszywą grę bolszewików, zagrało swojemu wojsku wsiadanego. Czyli zrobiło właśnie to, czego życzył sobie Stalin. Sytuacja ta powtórzyła się w sposób niemal identyczny kilka miesięcy później w Warszawie.